

Rozdział pierwszy

Minęła godzina, od kiedy muezzini tangerskich meczetów wezwali do wieczornej modlitwy. Zapadła pochmurna noc, łaskawa dla przemytników. Piaszczyste wybrzeże na wschód od miasta zatoneło w ciemności. Panującą wokół ciszę zakłócał tylko szum fal, a czasem jeszcze odgłos przejeżdżającego w oddali samochodu, kierującego się w stronę granicy z Marokiem Hiszpańskim lub stamtąd powracającego.

– Powinni tu być lada moment – powiedział Denis, siedzący na wytartym fotelu pasażera. – Gdy tylko odbierzemy ładunek, jedziemy prosto do wioski. Jak dobrze pójdzie, wrócimy do Tangeru przed północą.

Paul Morel zaciągnął się amerykańskim papierosem.

– Każdy taki kurs to coraz większe ryzyko – mruknął. – Kto wie, może już ich tam obserwują? Pamiętasz, co mówił Yehlim? O tym, co się stało z jego kuzynem?

– To było w Casablance. – Denis zmarszczył brwi. – Tanger to co innego i dobrze o tym wiesz. Ale... czy ja dobrze słyszę, Paul? Czyżby naszły cię wątpliwości?

Morel strzepnął popiół za okno i pokręcił głową.

– Nie dopowiadaj sobie czegoś, czego nie mówiłem – odparł. – Po prostu, jeśli nas przyłapią... Cały wysiłek na marne. Może powinniśmy doradzić Yehlimowi, żeby...

– Spokojnie. – Denis wszedł mu w słowo. – Nasz wysiłek już wkrótce przyniesie owoce.

Morel spojrzał na niego.

– Co konkretnie masz na myśli? – spytał.

Nim jednak usłyszał odpowiedź, do ich uszu dotarł warkot łodzi motorowej, z każdą sekundą głośniejszy.

– To oni – stwierdził Denis i wysiadł z furgonetki.

Morel westchnął, pstryknął niedopałek w zarośla i też wyskoczył z wysłużonego renault, wyprodukowanego kilka lat przed wojną. Zadrżał, gdy słony wiatr dmuchnął mu w twarz. Wieczór był chłodny jak na Afrykę. Cóż, był już przecież grudzień.

– Tak, oni – zgodził się, spoglądając na coraz wyraźniejszą sylwetkę płaskodennej łodzi.

– Chodźmy.

Pięć minut później Denis wymienił umówione hasła z dwoma hiszpańskimi przemytnikami. Potem roślejszy z Hiszpanów wyskoczył z kołyszącej się łodzi do wody sięgającej mu momentami do pasa. Odebrał skrzynię podaną przez towarzysza i zaczął brnąć w kierunku plaży. Na brzegu przekazał skrzynię Denisowi, a ten wrócił z nią do furgonetki. Morel czekał na kolejną, zerkając w stronę świateł Tangeru.

Kiedy brodaty przemytnik o muskularnych ramionach, w całości pokrytych wyblakłymi na słońcu tatuażami, podał mu skrzynię, Morel mimowolnie się pochylił. Była cięższa niż zwykle.

– *Todo bien?* – spytał Hiszpan.

– Tak, wszystko w porządku.

Morel ruszył do auta zaparkowanego ponad sto metrów od brzegu. Po drodze minął Denisa. Nie dało się podjechać bliżej bez ryzyka, że samochód utknie w mokrym piachu.

Idąc z ciężkim ładunkiem pod górkę i z trudem podnosząc grzęznące stopy, Morel zastanawiał się, co właściwie niesie. Ciekawość męczyła go do tego stopnia, że kiedy wreszcie odstawił skrzynię na pakę furgonetki, wyciągnął z kieszeni szwajcarski nóż oficerski, kupiony niedawno na Grand Socco. Nie zastanawiając się długo, bo nie było na to czasu, podważył jedną z desek przybitego gwoździami wieka i zajrzał do środka.

– Mój Boże... – szepnął.

*

To był kolejny deszczowy poranek, pozbawiający człowieka motywacji do wczesnego wypełnienia z łóżka. Ale i tak *Café Central* wypełniło już międzynarodowe towarzystwo przemytników, marynarzy, kupców, zbiegów, awanturników, literatów, malarzy,

muzyków i Bóg wie, kogo jeszcze. Nad filiżankami kawy z kardamonem i szklankami miętowej herbaty siedziały także kobiety – głównie poetki i prostytutki, które niełatwo było od siebie odróżnić. Gwar panujący w przestronnym wnętrzu potęgowały jeszcze docierające z Petit Socco pokrzykiwania marokańskich handlarzy ulicznych, bez skrupowania sprzedających zarówno fałszywą biżuterię, jak i haszysz.

Maksymilian Biel siedział w kącie, żuł daktylę i bez większego zainteresowania przeglądał „Le Journal de Tanger”. Najnowszy numer dziennika zawierał wyjątkowo dużo informacji o wojnach: palestyńskiej, indochińskiej oraz o „zimniej wojnie”, jak zaczęto nazywać narastający konflikt pomiędzy Zachodem a Sowietami. Biela jednak wojny dawno już przestały interesować, skupił się więc na dziale ekonomicznym.

– *Señor Biel? Buenos días!*

Biel odłożył gazetę na blat kwadratowego stolika i spojrzał na otyłego Hiszpana, wciśniętego w biały garnitur. Mężczyzna dobiegał czterdziestki, na tyle przynajmniej wyglądał, mógł być więc rówieśnikiem Biela. Miał elegancki kapelusz, wąsik jak z przedwojennego filmu i uśmiech domokrażcy.

– *Buenos días* – odpowiedział Biel. – *Disculpe... Habla francés?*

Biegle posługiwał się francuskim i niemieckim, ale hiszpański i angielski opanował dotąd w dość

ograniczonym stopniu. Nawet ze swoją amerykańską kochanką rozmawiał w języku Franków. Aczkolwiek nie rozmawiali zbyt wiele.

– Owszem. Czy mogę się dosiąść?

– Bardzo proszę, panie...

– Valverde – przedstawił się Hiszpan i zajął miejsce naprzeciwko Biela. – Miguel Valverde.

– W czym mogę panu pomóc, panie Valverde?

Hiszpan zdjął kapelusz i błysnął spoconą łysiną. Przywołał gestem młodego kelnera, u którego zamówił kawę i rogalika. Dopiero potem zwrócił się do Biela:

– Jest pan właścicielem firmy przewozowej, prawda?

– Współwłaścicielem. Zatem chodzi o interesy.

– Jak najbardziej, panie Biel. Jak najbardziej!

– Mogę spytać, dlaczego nie przyszedł pan w takim razie do naszego biura? Jest niedaleko stąd.

– Wiem, wiem, ale... Po pierwsze, w biurze nie rozmawiałbym z panem, tylko z pańskim pracownikiem, prawda? A powiedziano mi, że pan akurat urzęduje tutaj znacznie częściej niż w siedzibie swojego przedsiębiorstwa.

Maksymilian Biel uśmiechnął się. Trudno byłoby temu zaprzeczyć.

– Tak czy inaczej, w biurze powinien być też mój wspólnik – powiedział.

– Marokański wspólnik. Znaczy... Proszę mnie źle nie zrozumieć! Nie mam nic przeciwko Marokańczykom,

nic a nic. Ale jakoś łatwiej dogadać mi się z Europejczykami. Poza tym – Valverde pochylił się – *Café Central* to o wiele lepsze miejsce na omówienie takiego interesu, jaki mam do pana. O wiele lepsze.

Do stolika zbliżał się kelner z kawą i rogalikiem dla Hiszpana, więc Biel wstrzymał się chwilę z odpowiedzią.

– Rozumiem – zaczął, kiedy chłopak się oddalił. – Żeby nie marnować pańskiego, niewątpliwie bardzo cennego czasu, panie Valverde, powiem od razu: moja firma nie zajmuje się przemysłem.

Hiszpan, który błyskawicznie wepchnął sobie do ust całego rogalika, skrzyżował ręce na szerokiej piersi. A właściwie oparł je na brzuchu rozpychającym błękitną koszulę.

– Ja pana bardzo proszę... – zamlaskał i rozejrzał się po kawiarni. – Prowadzi pan firmę przewozową w Tangerskiej Strefie Międzynarodowej, a *Café Central* jest dla pana jak biuro. I chce mi pan powiedzieć, że nie zajmuje się pan przemysłem? Nic a nic?

Biel spokojnie upił łyk swojej, niestety letniej już, kawy.

– Wydaje mi się, panie Valverde, że nie tyle chcę, co już to powiedziałem. Jak bardzo dziwne by się to panu nie wydawało, taka jest prawda.

Hiszpan zamrugał i podrapał się po łysinie.

– Niebawale. Niebawale! Uczyni mi pan tę grzeczność i wyjaśni, jak to możliwe? – spytał.

– Panie Valverde... – westchnął Biel. – Chyba zdaje pan sobie sprawę, że od przemytu to mamy w Strefie przede wszystkim motorówki. Kutry rybackie ewentualnie. A jeżeli chce pan dostarczyć na większą odległość coś naprawdę cennego, rozsądną opcją może być samolot. Znam byłego pilota RAF-u, który świadczy takie usługi i potrafi całkiem sporo zmieścić pod podłogą kabiny. Mogę pana z nim skontaktować. Bez prowizji.

Valverde pokręcił głową.

– Nie sędzę, żeby było tam wystarczająco dużo miejsca – stwierdził. – Potrzebuję ciężarówek. Albo przynajmniej furgonetek.

– Które miałyby jechać w głąb Afryki?

– To chyba oczywiste.

– No właśnie, panie Valverde.

– Hm?

– Ciężarówki, w odróżnieniu od łodzi albo samolotu, musiałyby już na samym początku przejechać przez dwie granice. Najpierw z Marokiem Hiszpańskim, a potem...

– Widziałem kiedyś mapy, panie Biel. Naprawdę widziałem!

– Nie mam co do tego wątpliwości. – Biel uśmiechnął się pojednawczo. – I na pewno widział pan też kiedyś hiszpańskich i francuskich celników. A gdyby pan widział jeszcze, z jaką starannością przeszukują samochody...

– Pan, jako właściciel firmy przewozowej, na pewno wie, że można coś na to zaradzić – odparł z przekonaniem Valverde.

Biel postukał palcami w blat i zamyślił się na chwilę.

– Czasem można, a czasem nie – powiedział. – Ale to ryzykowna gra. A na przewozie legalnych towarów, choć może panu trudno w to uwierzyć, również da się zarobić. Nie ryzykując utratą majątku ani więzieniem.

– Kto nie ryzykuje...

– Ten śpi spokojnie – dokończył Biel. – Panie Valverde, ja w swoim życiu sporo ryzykowałem. Podczas wojny raz za razem ryzykowałem nawet życie. Już mi wystarczy.

– Dobrze zapłacę! – nie dawał za wygraną Hiszpan. – Bardzo dobrze. Na pewno się dogadamy.

– Panie Valverde... Jeśli to dla pana takie ważne i jest pan gotów się wykosztować, to może niech pan po prostu kupi kilka starych samochodów i wynajmie kierowców.

Hiszpan odwrócił się w kierunku okna. Przez minutę milczał, spoglądając na zatłoczony placyk, serce tangerskiej medyny. Biel spokojnie czekał.

– Być może tak zrobię – mruknął w końcu Valverde. – Albo może znajdę inną firmę. Gdyby jednak zmienił pan zdanie do... Do jutra do południa, powiedzmy. Proszę do mnie zadzwonić, to mój numer.

Biel schował do kieszeni kartonik z wykaligrowanymi ręcznie cyframi.

– Gdybym zmienił – powiedział.

Hiszpan wstał, a jego krzesło zaskrzypiało głośno i jakby z ulgą.

– Niech pan się zastanowi i przedyskutuje sprawę ze współnikami. To naprawdę wam się opłaci. W razie potrzeby mogę odwiedzić panów biuro, by tam przedstawić szczegóły.

*

Biel szedł zatłoczoną i moką Rue Es-Siaghine, główną arterią najstarszej części miasta. Na parterze każdego domu znajdowały się sklepy, restauracje albo kawiarnie, chodnik zaś pełnił rolę targowiska. Sprzedawcy i klienci mówili po arabsku, hiszpańsku, francusku, angielsku i w kilku jeszcze innych językach, tworząc atmosferę tak kosmopolityczną, że nie powstydziliby się jej Singapur ani Nowy Jork. Szczególnie, że kościół katolicki stał tutaj ściana w ścianę z synagoga, a w promieniu stu metrów działały przynajmniej trzy meczety.

Dotarł na rozległy Grand Socco, nad którym górował zdobiony polichromią minaret. Szerokim łukiem, omijając bazar ocieniony palmami, pomaszewował na południową stronę placu. Przeszedł obok postoju taksówek i banku, a przed kinem skręcił

w lewo. Kilka minut później był już w siedzibie firmy Biel-Tazi, mieszającej się w dwukondygnacyjnym, białym budynku o płaskim dachu, który w pogodne dni pełnił rolę tarasu.

– Dzień dobry, panie Biel – przywitał go dwudziestoletni Marokańczyk, siedzący za biurkiem ustawionym naprzeciwko wejścia. – *Salam alejkum!*

– *Wa alejkum salam*, Hamidzie. Czy Karim jest na górze?

Hamid pokiwał głową.

– Pan Tazi przyszedł jeszcze przede mną.

– No tak... – mruknął Biel i skierował się ku schodom.

Wspólnika, jak zawsze odzianego w jasną dżalabię, znalazł pochylonego nad księgami rachunkowymi w gabinecie obwieszonym mapami drogowymi Afryki Północnej.

– *Salam alejkum*, Karim.

– Ach! – Brodaty Marokańczyk podniósł głowę i uśmiechnął się. – *Wa alejkum salam*, przyjacielu! Jak się dziś miewasz?

Karim Tazi urodził się w Tangerze pod sam koniec dziewiętnastego wieku. W tym mieście spędził całe dotychczasowe życie, ożenił się, wychował dwóch dorosłych już synów i rozkręcił kilka mniej lub bardziej zyskownych interesów. Przeżył niejedną zmianę u władzy i kilka lat hiszpańskiej okupacji, ale nie zapisał się do żadnej z partii walczących, ostatnio

coraz śmielej, o zjednoczenie i niepodległość Maroka. Wcześniej czy później i tak to osiągniemy, powtarzał. Dodając jednak: *inszallah!* Tymczasem wołał skupiać się na sprawach bardziej przyziemnych.

– Miewam się całkiem nieźle, dziękuję – odpowiedział mu Biel.

– Usiądź, napij się herbaty. Widzę, że masz mi coś do powiedzenia.

Biel kiwnął głową, usiadł i opowiedział o rozmowie z Miguelem Valverdem. Nie miał w zwyczaju ukrywać niczego przed współnikiem, liczył w tym zresztą na wzajemność. Jak dotąd nic nie nadszarpnęło jego zaufania.

– O nic go nie spytałeś? Choćby z ciekawości? – zdziwił się Tazi. – Co to za towar? Dokąd chce go dostarczyć? Ile gotów jest zapłacić?

– Nie. Im mniej wiemy, tym lepiej. Jeśli pojawi się u nas policja...

Marokańczyk roześmiał się.

– Zawsze spodziewasz się najgorszego, Max!

– A ty zawsze sądzisz, że wszystko pójdzie dobrze.

– I który z nas ma zwykle słuszność, co? Bóg nam sprzyja, przyjacielu!

Biel westchnął i spojrzał w bok, na mapę marokańskiego wybrzeża. Jego wzrok odruchowo skupił się na Casablance.

– Wystarczy, że raz coś pójdzie nie tak – zaczął – i firma, w którą włożyliśmy tyle pracy...

– Rozumiem, rozumiem – przerwał mu Tazi. – I nie mówię, że trzeba było się godzić na współpracę z panem... Valverdem. Po prostu, cóż...

– Hm?

Marokańczyk wskazał Bielowi arkusze z tabelkami.

– Wydatki rosną, konkurencji przybywa, a klientów wręcz przeciwnie. Wciąż jesteśmy na plusie, oczywiście, ale któregoś dnia...

– Któregoś dnia będzie zmuszeni... zmodyfikować profil naszej działalności na bardziej ryzykowny, żeby utrzymać się na powierzchni? – spytał Biel.

Tazi wzruszył ramionami i uśmiechnął się.

– Tego nie wiem – powiedział. – Oby nie, bo nie lubię być do niczego zmuszany. Od tego gotuje mi się berberska krew! Proszę cię tylko, przyjacielu, abyś...

– Dobrze to sobie przemyślę.

– Nie jesteśmy zdesperowani, a ja nie jestem zachłanny, więc jeśli chodzi o pana Valverdego, niech będzie po twojemu. Tylko tak na przyszłość...

– Powiedziałem już, że będę o tym myślał.

Marokańczyk klasnął w dłonie.

– Świetnie! Pamiętasz o dzisiejszych spotkaniach? I o dokumentach z Legacji Francuskiej?

– Jasne. Wszystko załatwię.

– Cieszę się... Aha! Jeszcze jedna sprawa. Ktoś zadzwonił z samego rana i bardzo chciał z tobą porozmawiać. – Tazi otworzył szufladę i zaczął w niej

grzebać. – Zostawił numer i prosił, żebyś do niego oddzwonił. Gdzieś to sobie zapisałem...

– Przedstawił się?

– Owszem. Chwila... Mam! Paul Morel. Znasz kogoś takiego?

*

Paul Morel! – pomyślał Biel, wpatrując się w błękitny sufit pokoju hotelowego. Paul Morel... Kiedy widzieliśmy się po raz ostatni? Zaraz po zakończeniu alianckiej konferencji w Casablance, czyli w styczniu albo lutym czterdziestego trzeciego. Prawie pięć lat temu.

Wówczas zakończono działalność Ekspozytury Wywiadowczej Afryka Północna. Wtedy też na dobre rozpoczęła się współpraca Zachodu z Sowietami, co przesądziło o powojennych losach ojczyzny podporucznika Maksymiliana Biela. Ojczyzny, dla której najpierw walczył w kampanii wrześniowej, a później szpiegował w Afryce, zdobywając informacje, które umożliwiły alianckim wojskom sprawne przeprowadzenie Operacji Torch. Patriotyczne poświęcenie Biela i tysiący mu podobnych na nic nie zdało się Polsce sprzedanej Stalinowi przez Zachód.

Paul i jego młodszy brat Gilbert należeli do komórki wywiadowczej, którą Biel stworzył w Casablance, gdzie działał pod przykrywką dostawcy płatków owsianych. Handlem płatkami naprawdę się tam

zajmował. Ekspozytura prowadziła w Algierze doskonale prosperującą fabrykę, zaopatrującą w racje żywnościowe nawet niemiecką armię. Przedstawiciele firmy mieli dzięki temu wiele okazji do zdobywania informacji o portach, lotniskach i bazach, o ruchach wojsk i okrętów, a nawet o sprawności bojowej poszczególnych oddziałów.

Nie wszystkie informacje były jednak łatwo dostępne. Zdarzało im się więc – czasem na własną rękę, a czasem we współpracy z francuskim ruchem oporu lub amerykańskimi agentami z Tangeru – wykraść albo kopiować niemieckie dokumenty, przekupywać kolonialnych urzędników, a nawet porywać i przesłuchiwać kolaborantów. Na jedną z takich niebezpiecznych misji Biel wysłał Gilberta do Marrakeszu, by ten dowiedział się czegoś o dostawach fosforytów, jakie ponoć tamtejszy pasza miał obiecywać Niemcom. Gilbert do Casablanki już nie wrócił.

Paul nie winił Biela za śmierć młodszego brata. Przynajmniej nigdy nie wypowiedział głośno podobnego oskarżenia. Ale gdy skończyła się ich wywiadowcza współpraca, skończyła się też przyjaźń. To dlatego Biel nie oddzwonił jeszcze do Morela. I dlatego też myślał o nim przez cały dzień. Nawet teraz, gdy spocony leżał w łóżku z młodą Amerykanką wtuloną w jego ramię.

– O czym myślisz? – spytała Laura. – Wracaj do mnie.

Spojrzał na nią i uśmiechnął się. Miała irlandzką urodę, co bardzo mu się podobało. Zadarty nosek, obsypany piegami, i blade policzki, ukrywane przed marokańskim słońcem pod parasolem. Ciemnorude włosy, długie i niezwykle gęste, które wiązała czasem w dwa grube warkocze. A do tego ogromne, zielone oczy, jak u elfiej wróżki z irlandzkiej bajki.

– O... interesach – odpowiedział. – Wybacz. Dużo spraw na głowie. Już wróciłem.

Laura Sullivan była pisarką, a raczej: pragnęła nią zostać. Jak dotąd ukazała się tylko jedna jej powieść – raczej wtórny romans z akcją osadzoną w Nowym Jorku. Biel czytał go powoli ze słownikiem w ręku, ale nawet jego poziom znajomości angielskiego wystarczał do stwierdzenia, że nie miał do czynienia z arcydziełem. Laura zresztą sama przyznawała, że dobrą książkę dopiero pisze, a inspirację do niej stanowić ma życie w egzotycznym, marokańskim mieście. Życie na koszt ojca, przemysłowca z Bostonu, który co miesiąc wpłacał na jej konto w Banku Transatlantycznym pokaźną sumkę.

– Cieszę się. To znajdź mi papierosa.

Delikatnie uwolnił ramię, podniósł się i rozejrzał za chesterfieldami. Leżały obok kryształowej popielniczki i zapalek na półokrągłym stoliku ustawionym przy oknie. Wstał więc całkiem nagi i poszedł w ich stronę. Uchylił okno i zaczerpnął chłodnego, pachnącego morzem powietrza. Przez kilka chwil spoglą-

dał na pograżoną w ciemności Zatokę Tangerską, a potem z papierosami, zapalnikami i popielniczką zawrócił w stronę łóżka. Postawił wszystko na nocnej szafce.

– Bądź dżentelmenem i podsuń mi tu ogień.

Gdy wysunęła się spod cienkiej koldry i usiadła, eksponując biust, Biel pomyślał, że chyba zostanie w *Continentalu* na noc. Od tej samej zapalniczki odpalił swojego papierosa i usiadł w fotelu.

– Dostałam... – Laura zaciągnęła się. – Dostaliśmy zaproszenie.

Z trudem powstrzymał grymas. Obojętnym głosem zapytał:

– Zaproszenie na...?

– Przyjęcie.

– Mhm.

– Nie spytasz, kto nas zaprasza?

– Kto?

– John Hudson.

– Mhm.

Laura niechętnego grymasu nie powstrzymywała. Nie miała tego w zwyczaju.

– Nie pamiętasz, kto to, co?

Biel uśmiechnął się przepraszająco.

– Mówiłam ci o nim już kilka razy – fuknęła. – To sekretarz z legacji.

– No tak. Wybacz.

– Nigdy mnie nie słuchasz!

– To nieprawda.

– Pójdiesz ze mną na to przyjęcie? – spytała zimnym i bardzo rzeczowym tonem.

– Wiesz, że nie lubię przyjąć – odpowiedział, zamiast ugryźć się w język i choć przez kilka sekund pomyśleć.

Laura zmiażdżyła w popielnicze niedopalonego papierosa.

– Nie lubisz nigdzie ze mną wychodzić! Kiedy ostatni raz zabrałeś mnie na kolację, co?

Biel miał już swoje lata i trochę doświadczeń z kobietami, ale za każdym razem zdumiewało go, jak błyskawicznie potrafiły przeskakiwać od czułości do gniewu. Wystarczała mała iskierka. Inna sprawa, że on posiadał szczególny talent do wzniecania tych iskier.

– Lauro...

– Tylko do tego jestem ci potrzeba! – Klepnęła dłonią w łóżko.

– Wiesz, że to nieprawda.

– Wiem? Niby skąd?

Zgasił papierosa i pochylił się w fotelu.

– Pójdę z tobą na przyjęcie do sekretarza Hudsona – powiedział Biel. – A na kolację zabiorę cię choćby za chwilę, jeśli masz ochotę.

– Nie chcę iść teraz na kolację. – Splotła ramiona, zasłaniając piersi. – Nie mam apetytu.

– No dobrze... Kiedy jest to przyjęcie?

Prychnęła.

– Przecież nie chcesz tam iść.

– Lauro...

– Chyba powinienes już wracać do domu.

Biel pokiwał głową, a potem w milczeniu ubrał się i podszedł do okna.

– Jest piękny wieczór – powiedział. – Może chociaż pójdziesz ze mną na spacer?

– *Go away* – pożegnała go w swoim ojczystym języku.

*

Biel szedł pod górę labiryntem wąskich uliczek medyny, ukształtowanej niczym amfiteatr wyrastający ponad portową zatoką, przy której wzniesiono *Continental*. Wspinał się po krzywych stopniach i przemierzał alejki, które zmieniały się w ciemne tunele, gdy zrastały się stojące przy nich domy. Minał kilka kafejek otwartych mimo późnej pory, tani hotel, a potem burdel, z okien którego spoglądali na niego nastoletni Marokańczycy. Tangerska Strefa Międzynarodowa stanowiła bowiem nie tylko globalne centrum szmuglu i szpiegostwa, ale także raj dla homoseksualistów z Europy i Ameryki. Nie dość, że nikt ich tutaj nie ścigał, to za niewygórowaną cenę mogli zapewnić sobie towarzystwo śniadego młodzieńca.

Szedł głęboko zamyślony, a nogi same prowadziły go utartą ścieżką. Najpierw myślał o kłótni z kochanką i o tym, że właściwie to miała rację. Najchętniej nie wychodziłby z nią z łóżka i rzeczywiście rzadko gdzieś ją zabierał, a do tego nie zawsze słuchał jej wystarczająco uważnie. Szybko jednak znów przypomniał sobie o Morelu.

Czego on może chcieć? – zadawał sobie pytanie. I co robi w Tangerze? Bo numer, który zostawił Taziemu, był tangerski. Raczej nie przyjechał po to, żeby umówić się ze mną na piwo i pogadać o starych czasach. A może jest tu już dłużej, po prostu nigdy się na siebie nie natknęliśmy? Jeśli trzyma się z dala od Petit Socco, byłoby to możliwe. Tak czy inaczej... Czego chce? Pomocy? Pienędzy? A może usłyszał, że prowadzę firmę, i liczy, że go zatrudnię?

Nie mogę tego dłużej odkładać – zdecydował Biel, zbliżając się już do mieszkania, które wynajmował przy trójkątnym placu z małą fontanną w zachodniej części starej dzielnicy. Zadzwońię do niego z samego rana.

Kiedy dotarł na plac, od razu zwrócił uwagę na mężczyznę w białym kapeluszu, siedzącego z papierosem na ławie ustawionej pod ścianą bardzo starego budynku. W okolicy nie było żadnej latarni, więc Biel nie był w stanie dojrzeć jego twarzy. Przyszło mu do głowy, że oto Paul Morel zdobył jego adres.

To jednak nie był on.

– *Monsieur Biel* – odezwał się mężczyzna – cieszę się, że jednak postanowił pan wrócić na noc do domu. Już miałem sobie stąd pójść.

Biel zrobił krok w jego stronę.

– Kim pan jest? – spytał. – I o co chodzi?

– O bardzo ważną sprawę, panie Biel. Bardzo ważną.